Andrzej STELMACHOWSKI

SPÓR O RELIGIĘ W SZKOLE[1]

Można mówić, że jest to zjawisko powrotu w krajach postkomunistycznych religii do szkoły. Jest to jednym z elementów odejścia od dawniejszego francuskiego oraz późniejszego sowieckiego modelu rozdzielenia państwa od religii.

Zanim przejdziemy do kwestii nauki w szkole, chciałbym zacząć od nieco szerszego punktu widzenia, mianowicie od sprawy generalnego stosunku państwa do Kościoła. Jak Państwu bowiem wszystkim wiadomo, od samego początku rzecz u nas była kontestowana przez Rzecznika Praw Obywatelskich. Najpierw, kiedy wydano czasowo Instrukcję w sprawie przywrócenia religii w szkołach publicznych, potem zaś, kiedy wydałem już normalne rozporządzenie o nauce religii, rozporządzenie to zaskarżono. Sprawa oprze się o Trybunał Konstytucyjny[2].

W związku z tym, wydaje mi się, że należy wrócić do zagadnienia zasadniczego, mianowicie, na czym polegają niektóre systemy regulacji stosunków: państwo – Kościół. Jeżeli pominiemy systemy, o które tu nie może chodzić (jak np. cezaropapizm – to już nie te czasy), wiadomo, że może to być albo system współdziałania państwa i Kościoła (vide Włochy i Niemcy), albo system rozdziału państwa od Kościoła. Tu znane są powszechnie dwa systemy: system amerykański i system francuski oraz ja od siebie dodałbym system japoński, który jest może najmniej znany, ale który też jest wart uwagi.

Na czym rzecz polega? System francuski był systemem zasadniczo Kościołowi nieprzyjaznym. Moim zdaniem można go było określić jako system rozdziału od państwa – i Kościoła, i religii (Kościoła pojmowanego w sensie nie teologicznej wspólnoty wiernych, ani tym bardziej Mistycznego Ciała Chrystusa, lecz w sensie organizacji pewnej instytucji). Ten system bardzo ostro zarysowany w latach 1905-1906, później w samej Francji znacznie złagodniał,

[1] Niniejszy tekst jest spisanym z taśmy magnetofonowej wystąpieniem prof. Andrzeja Stelmachowskiego 24 XI 1992 r. w ramach Konwersatorium Myśli Jana Pawła II prowadzonym przez Instytut Jana Pawła II KUL. (Red.)

[2] Trybunał Konstytucyjny na początku 1993 r. uchylił – poza kilkoma szczegółowymi punktami – zarzuty Rzecznika Praw Obywatelskich i utrzymał w mocy rozporządzenie Ministra Edukacji. (Red.)

po ostrym zaś konflikcie wewnętrznym odnośnie do tej kwestii Francuzi sami odczuwali pewną malaise, dzięki czemu np. w Alzacji i Lotaryngii, które odzyskano po I wojnie światowej, nigdy nie wprowadzono tego systemu. Tam do dziś dnia obowiązuje w tym zakresie prawo niemieckie. Natomiast ten radykalny system francuski, próbujący oddzielić państwo i od Kościoła, i od religii, był w całej pełni rozwinięty w Związku Radzieckim. Tam nastąpiło przejęcie tej bardzo antyklerykalnej francuskiej idei, jeszcze z ogromnym jej zaostrzeniem.

Inaczej wygląda system rozdziału państwa od Kościoła w Stanach Zjednoczonych. Jest to system rozdziału państwa od Kościoła, ale nie od religii. Jest to dosyć znamienne. Dlatego prezydenci amerykańscy składają przysięgę religijną przy objęciu urzędu, a na banknotach czy monetach mamy napis: „In God we trust". Nie ma tu założonego elementu ateistycznego w funkcjonowaniu państwa.

Jeszcze bardziej osobliwy jest system japoński, który jest rozdziałem państwa od religii, ale nie od kościoła. Ja sam miałem spore trudności w zrozumieniu tego systemu, ale Japończycy mi to wyjaśnili. Powiadają tak: uważamy, że państwo powinno być oddzielone od religii, natomiast od Kościoła niekoniecznie. Jeżeli Kościół spełnia pewne funkcje w dziedzinie oświatowej, charytatywnej lub społecznej, to nie widzimy tu pola do rozdziału, natomiast owszem, istnieje współdziałanie. Dlatego my dotujemy szpitale kościelne, dotujemy szkoły, również katolickie, bo uważamy, że nie ma rozdziału państwa od Kościoła. Jest natomiast rozdział od religii. Kiedy tam przebywałem, trwały wielkie dyskusje, czy premier miał prawo, czy nie miał prawa brać udziału w ceremonii szintoistycznej. Mogą być zatem różne podejścia do zagadnienia. Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że Rzecznik Praw Obywatelskich zaskarżając rozporządzenie o nauce religii argumentuje, że wykroczono w nim przeciwko konstytucyjnej zasadzie rozdziału państwa i Kościoła. Nie powiem, żeby to było zbyt chlubne uzasadnienie, dlatego że chodzi tu o przepisy odziedziczone po konstytucji stalinowskiej z 1952 roku. Jakoś widać nasz Parlament nie może się od tej spuścizny oderwać do reszty. Już gruntownie popruto tę konstytucję, tak że zostały z niej tylko strzępy, ale właśnie ten strzępek z tą formułą o rozdziale państwa i Kościoła został.

Wróćmy do zagadnienia, które leży u podstaw całego sporu. Nie lubię osobiście określenia „rozdzielenie państwa od Kościoła". Sądzę, że o wiele trafniejsza jest formuła przyjęta przez Sobór Watykański II gdzie – jak wiadomo – zostało powiedziane, że państwo i Kościół są względem siebie autonomiczne i każde z nich działa w sferze sobie właściwej, ale ponieważ obiektem tych działań są ci sami ludzie, wobec tego tam, gdzie zachodzą tzw. materiae mixte, jest konieczne współdziałanie. Jeśli jednak nawet weźmiemy tę formułę „rozdzielenia", to – jak widzimy – rzecz można różnie interpretować. W latach stalinizmu i później jeszcze komunizmu, właściwie w praktyce do lat 70.

uważano, że jest to rozdział pojmowany po radziecku, czyli i od Kościoła, i od religii. To zaś wcale nie musi wynikać z tekstu, to nie musi być tak odczytywane. Dziś w Polsce, owszem, uznaje się, że państwo i Kościół są autonomiczne w swoich dziedzinach, natomiast – moim zdaniem – nawet gdyby przyjąć formułę rozdziału państwa i Kościoła, to wcale nie musi oznaczać automatycznego rozdziału państwa od religii. Środowiska lewicujące u nas nie chcą przyjąć tego do wiadomości i uporczywie starają się utrzymać starą interpretację, która nakazuje rozdział państwa od Kościoła i religii, co w sposób konieczny prowadzi do ateizmu państwowego.

W tej chwili jednak wydaje się, że już co do pewnych spraw rzecz zaczyna być jaśniejsza. Chodzi mianowicie o preambułę do ustawy z 7 IX 1991 roku, która powiada, że w procesie wychowania należy uwzględniać wartości chrześcijańskie. Prócz tego umieszczono tam „ogólne wartości humanizmu", tym niemniej wartości chrześcijańskie są tam obecne. A więc zasób wartości chrześcijańskich ma należeć immanentnie do systemu edukacyjnego. Co więcej: istnieje w tej ustawie artykuł 12, który mówi, że państwo organizuje w szkołach publicznych lekcje religii. O to wyrażenie zresztą swego czasu toczył się wielki spór, usiłowano bowiem narzucić formułę inną, mianowicie formułę, że państwo umożliwia Kościołowi prowadzenie lekcji religii w budynkach szkolnych. Oczywiście, gdyby została przyjęta formuła „umożliwia", wtedy oznaczałoby to, że religia jest poza systemem oświatowym. To drobne słowo „organizuje", o które toczono bój i które ostatecznie zostało wprowadzone, konstytuuje fakt, że religia tkwi w systemie edukacyjnym i w systemie oświatowym. Minister Edukacji miał następnie określić, w jaki sposób ta zasada będzie realizowana. Odpowiednie rozporządzenie ukazało się, z tym że właściwie nie wymyśliłem tutaj żadnych wielkich nowości, których by nie było zawartych w wydanych już uprzednio instrukcjach. Można by tylko dodać sprawę umieszczenia oceny z religii na świadectwie. Wydawało się, że należy tu wrócić do pewnych polskich tradycji, zgodnie z którymi religia jest umieszczana na świadectwie szkolnym zaraz po stopniu ze sprawowania, a przed innymi. To właściwie jedyna rzecz, która – można powiedzieć – była całkowicie nowa w sensie wprowadzenia podczas mojej kadencji Ministra Edukacji. Tego nie było w instrukcjach. Reszta zaś rozporządzenia to są po prostu tak czy inaczej przetransponowane rozwiązania z instrukcji, tyle tylko, że ujęte jako rzecz stała.

Trzeba dodać, że powrót religii do szkoły nie jest specyfiką tylko polską. W innych krajach postkomunistycznych proces ten również następuje, oczywiście nie w identyczny sposób, ale istnieją analogie. Gdy byłem w Paryżu na pewnej konferencji, gdzie m.in. referował sytuację na Litwie niedawno mianowany arcybiskup wileński Bačkis, usłyszałem rzecz, która była dla mnie zaskoczeniem. Mówiąc o religii w szkole i o trudnościach, jakie istnieją na Litwie, stwierdził, że w szkołach polskich na religię uczęszcza prawie 100% uczniów,

a w litewskich 25%. Myślę, że Arcybiskup miał dane w tej sprawie ścisłe. Różnie więc ten proces – jak widać – jest przyjmowany przez społeczeństwo, także przez społeczność uczniowską, ale można mówić, że jest to zjawisko szersze: powrotu religii do szkoły. Jest to jednym z elementów odejścia od dawniejszego francuskiego oraz późniejszego sowieckiego modelu rozdzielenia państwa od religii. Uważam, że takiego rozdzielenia w istocie nie ma i nie powinno być. Cały wielki spór, jaki teraz toczy się wokół aborcji, też przecież jest w istocie z bardzo podobnej, jeśli nie tej samej, dziedziny. Chodzi o to, czy pewne wartości chrześcijańskie mają mieć zakotwiczenie w życiu publicznym, czy nie?

Przejdźmy teraz do konkretnych problemów związanych z powrotem religii do szkół. Następuje swoiste wmontowanie religii do systemu szkolnego, ale wmontowanie to nie może być mechaniczne. Nie ulega bowiem wątpliwości, że religia nie jest przedmiotem takim, jak wszystkie inne. Ja na przykład przeżywałem rozterki w związku z zagadnieniem stopnia z religii. Czy na świadectwie ma być umieszczony stopień z religii, czy tylko zaliczenie, a może jeszcze inna forma? Doszedłem w końcu do wniosku, że na świadectwie powinien widnieć stopień z religii, natomiast zostaje sprawą absolutnie otwartą, jakie powinny być kryteria oceny. Czy kryterium tym ma być suma wiedzy, czy może coś więcej? Wiadomo, że np. w niektórych szkołach angielskich lekcje religii podlegają ocenie na świadectwach, ale jako kryterium przyjmuje się nie tylko stan wiedzy, ale również postawę. Na przykład dobry uczynek jest uwzględniany, jeśli chodzi o ocenę z religii. Chodzi nie tylko o to, czy uczeń dokładnie wyrecytuje wszystkie przykazania i wszystkie grzechy główne oraz cnoty kardynalne, ale również o to, jak się ustosunkowuje do kolegów i jaka jest jego generalna postawa. Czy ta postawa wyraża w czynach wartości chrześcijańskie, czy też nie? Nie chcę tu twierdzić, że akurat tak należy podejść do zagadnienia. Natomiast chciałbym postawić znak zapytania: czy ocena z religii ma uwzględniać wyłącznie stan wiedzy? Uznając, że religia nie jest przedmiotem takim jak wszystkie inne, sądzę, że byłoby wskazane dopracowanie się mniej mechanicznych kryteriów oceny.

Przywrócenie nauki religii w szkołach stwarza jednocześnie ogromne wyzwanie dla Kościoła. Wyzwanie to jest wielostronne. Dopóki lekcje religii odbywały się w kościele lub domu parafialnym, miały one pewną obudowę duchową. Ta obudowa zawierała w sobie elementy sacrum, które w sposób naturalny stwarzały otoczkę dla lekcji religii. Otóż tego sacrum w szkole nie ma, a przynajmniej należy do rzadkości. Bywają szkoły, gdzie tak jak funkcjonują specjalne pracownie do chemii, fizyki itp., jest też sala do lekcji religii, która jest odpowiednio przygotowana i wyposażona w odpowiednie przedmioty, które zawierają w sobie elementy sacrum. Jest to jednak zjawisko nietypowe i – jak powiedziałem – rzadkie. Co więcej, sam system lekcyjno-szkolny przybliża naukę religii do innych przedmiotów, co niesie w sobie niebezpie-

czeństwo traktowania religii jedynie jako sumy przekazywanej wiedzy. Wydaje się, że ten kontekst stanowi dla Kościoła duże wyzwanie.

Innym wyzwaniem jest również sprawa katechezy. Rozporządzenie Ministerstwa Edukacji nie wymaga od katechetów pełnych kwalifikacji formalnych, takich jakich się wymaga od „normalnego" nauczyciela. Katecheta ma pozycję nauczyciela, ale nie jest to sformalizowane, wychodzi się bowiem z założenia, że missio udzielone przez właściwe władze kościelne oznacza, iż stwierdzono, że te kwalifikacje katecheta posiada i dyrekcja szkoły już tego nie sprawdza. W związku z tym także wiek emerytalny nie stanowi przeszkody, katecheta nie musi również wykazywać się kwalifikacjami pedagogicznymi. Jest to duży akt zaufania, ale i duże niebezpieczeństwo. Zwłaszcza w szkołach średnich katecheta nie może wylegitymować się wyłącznie swoją dobrą wolą, musi poziomem być co najmniej równy nauczycielowi innych przedmiotów. Byłoby lepiej, gdyby „normalnych" nauczycieli przewyższał poziomem intelektualnym i dydaktycznym; w przeciwnym razie może być uważany za nauczyciela drugiej kategorii. Byłoby to fatalne dla odbioru społecznego. Przecież katecheta wchodzi w skład rady pedagogicznej, jest członkiem tego ciała, i właśnie tutaj także istnieje problem kwalifikacji. Ja nie wiem, jak będzie to funkcjonowało w przyszłości (kto jak kto, ale KUL to musi uwzględnić). Sądzę jednak, że po pewnym upływie czasu kryterium kwalifikacji pedagogicznej będzie musiało zostać wprowadzone. Nie wyobrażam sobie, żeby ta prowizorka, jaka istniała dotychczas (i co tu dużo mówić, istnieje do dziś dnia), mogła trwać dłużej. To się zresztą odbije na sprawach zupełnie przyziemnych, np. na takich jak wysokość uposażenia. Ponieważ katecheci są wynagradzani z budżetu, to sama siatka płac jest uzależniona od kwalifikacji, w związku z czym oczywiście, jeżeli tych kwalifikacji nie będzie, to będzie spadek stawki wynagrodzenia. Muszę przyznać, że widziałem od początku ten moment, ale nie usiłowałem go zmienić; jednak uważam, że rzeczywiście powinien istnieć bodziec do uzyskiwania przez katechetów pewnych kwalifikacji pedagogicznych, które by miały swój wyraz w jakimś sprawdzianie. Sprawa na przyszłość jest w tym względzie, jak się wydaje, otwarta.

Jeżeli pozwalam sobie tak długo zatrzymywać się nad osobą katechety, to dlatego, że ma to ogromne znaczenie zwłaszcza w szkołach średnich. Tutaj chciałbym podzielić się pewnym osobistym doświadczeniem. Spotkałem się kiedyś z opinią jednego z dyrektorów Zespołu Szkół Zawodowych, który stwierdził, że to dobrze, iż religię wprowadzono do szkół, bo jeśli chodzi o jego uczniów, to przedtem znikoma ich liczba uczęszczała na katechezę, praktycznie byli oni poza katechezą, a potem to się diametralnie zmieniło. Na początku przysłano do tego Zespołu Szkół jako katechetów dwóch kleryków. Skutek był znakomity, ponieważ ci młodzi klerycy byli wiekiem niewiele starsi od uczniów, bardzo szybko znaleźli wspólny język i podbili serca uczniów. Była nie tylko blisko stuprocentowa frekwencja na zajęciach, ale istniał

także pewnego rodzaju układ koleżeński (np. kiedy diakoni byli święceni, uczniowie byli na prymicjach). Klerycy w końcu jednak zostali prezbiterami, poszli na swoje placówki, a wtedy ksiądz proboszcz osobiście postanowił objąć lekcje katechezy. I dopiero stało się niedobrze. Proboszcz był zapędzony, pewnie zajmował się mnóstwem innych spraw, i co tu dużo mówić, ujmował rzecz drętwo. Wobec tego marzeniem dyrektora było, żeby jednak wrócili klerycy. Ja przy okazji porozmawiałem o tym postulacie z grupą biskupów ordynariuszy i spotkałem się z odruchem niechęci – klerycy mają tak wiele zajęć w seminarium, ich formacja powinna być ustabilizowana... Nie wydaje mi się jednak, żeby seminarium miało być instytucją odgradzającą przyszłych księży od społeczeństwa, w którym mają przecież pracować, zwłaszcza na wyższych latach. Niechby sobie popraktykowali nie tylko z okazji świąt takich czy innych. Może w mniejszym wymiarze, ale lekcje katechezy z pewnością przyczyniłyby się do pogłębienia ich formacji. Mówię to jako profesor: dydaktyka mobilizuje. Profesor musi być na bieżąco, bo jak nie jest, to bardzo szybko przy okazji wykładu obnaży się nędza jego wiedzy. Dlatego żałuję bardzo, że moje nieśmiałe nagabywania, żeby szerzej wykorzystać kadry kleryckie, nie przyniosły wyniku pozytywnego. Ale myślę sobie, że to wszystko musi mieć swój czas i odleżeć się w umysłach naszych arcypasterzy.

Co się tyczy samych uczniów, rozwiązanie ustawowe, jak wiadomo, jest takie, że w szkołach podstawowych o udziale w lekcji religii decydują rodzice, a w szkołach ponadpodstawowych – albo rodzice albo sami uczniowie. Kiedy zaś uczniowie osiągają pełnoletność (co dotyczy praktycznie klas maturalnych), decydują oni sami. Jest to zsynchronizowane z grubsza z przepisami kodeksu rodzinnego, gdzie właśnie to tak jest, że do 13. lat rodzice decydują za dziecko, później do pełnoletności mogą decydować rodzice, ale tzw. ograniczoną zdolność do czynności prawnych od 13-18. lat mają sami młodzi ludzie. Powyżej 18. lat jest pełnoletność. Trzeba dodać, że gdy chodzi o samą opcję wyboru przedmiotu, to rozporządzenie powiada, że są trzy możliwości: albo nauka religii, albo etyki, albo rezygnacja z jednego i z drugiego. I tu niespodzianka. Wydawałoby się bowiem, że takie postawienie sprawy powinno zadowolić nawet niewierzących. To, że ich główny atak został skierowany przeciwko etyce, jest dla mnie rzeczą zdumiewającą, bo przecież etyka w tym ujęciu nie musi być oparta na przesłankach religijnych. Może, ale nie musi. Alternatywna opcja miała być ukłonem wobec tych, którzy uznają motywację religijną za niewystarczającą, a chcieliby przekazać swoim dzieciom jakieś wartości moralne. Jeżeli ktoś woli, żeby nauczanie etyki odbywało się bez podkreślania korzeni religijnych i woli na przykład imperatyw kategoryczny Kanta, to taka etyka jest możliwa. Otóż okazało się, że – nie wiadomo dlaczego – stało się to kamieniem obrazy i jest to bardzo silnie kontestowane.

Rzecznik Praw Obywatelskich twierdzi, że wykroczyłem poza swoje kompetencje decydując, że do szkoły może być alternatywnie wprowadzona etyka.

Pan Rzecznik nie doczytał, że jest to jedna z najbardziej tradycyjnych kompetencji Ministra Edukacji, iż decyduje w ogóle o programach i o siatkach godzin. Teraz w szkolnictwie istnieją w tej mierze pewne luzy, ale w zasadzie on decyduje, czyli może wprowadzić każdy przedmiot, a więc także i etykę. W tym zakresie nie ma mowy o przekroczeniu kompetencji.

Pan Rzecznik uparł się jeszcze dalej i powiada, że samo żądanie od rodziców, żeby oświadczyli, czy dziecko ma chodzić na lekcję religii (i jakiej religii, bo nie zawsze będzie to religia katolicka), czy etyki – narusza wolność sumienia, ponieważ narusza prawo do milczenia w sprawach religii. Muszę powiedzieć, że nie rozumiem tego całkowicie. Przecież nie żąda się deklaracji, żeby ktoś powiedział, jaką wyznaje religię, lecz tylko aby powiedział, czy życzy sobie posyłać dziecko na lekcje religii i ewentualnie jakiej religii. Nie ma to nic wspólnego z deklaracją swego wyznania. Przecież wiele osób niewierzących posyła dzieci na religię, i ja nie pytam, czy osoby te wierzą i w co wierzą. Jest to czysto organizacyjna sprawa.

Cały spór i atak na rozporządzenie opiera się na ochronie praw mniejszości oraz obronie wolności sumienia. Rzecz jednak sprowadzona zostaje do absurdu, bo oto ta mniejszość ma narzucać tak dalece swój pogląd, że większość nie ma prawa do wyrażania swojego. Przecież nie może być tak, że dlatego, iż ktoś chce milczeć na temat swojej wiary, to mnie również nie wolno jej wyrażać, nie mam prawa wyznawania głośno swojej religii i swoich przekonań.

Z tym się wiąże jeszcze inna sprawa: umieszczania bądź nie umieszczania na świadectwie oceny z religii. Przeciwnicy prowadzą ostrą kampanię przeciwko ujawnianiu religii na świadectwach. Rozporządzenie rozstrzyga to niesłychanie delikatnie, mówi mianowicie, że ocena z religii (umieszczana na świadectwie szkolnym bezpośrednio po ocenie ze sprawowania) w celu wyeliminowania ewentualnych przejawów nietolerancji nie może zawierać danych, z których wynikałoby, na lekcje jakiej religii bądź etyki uczeń uczęszczał. A więc jeżeli ktoś był wyznania prawosławnego, i chodził na lekcje religii prawosławnej, to nie będzie tego wiadomo ze świadectwa. Na to znowu pan Rzecznik pisze, że jeżeli ktoś nie chce dla swoich dzieci ani religii, ani etyki, to w takim razie będzie na świadectwie kreska, a to jest przejaw nietolerancji. Ale jeżeli ktoś nie chce ani religii, ani etyki, to moim zdaniem jest to rodzaj demonstracji. Nie wyobrażam sobie, żeby normalny człowiek nie chciał wychowywać swoich dzieci w klimacie choćby elementarnych wartości moralnych. Rozumiem, że może mu nie odpowiadać motywacja religijna, wtedy proponuje mu się etykę, gdzie wszystko jest uzasadniane czysto racjonalnie, ale jeżeli odrzuca świadomie i jedno, i drugie, to jest to jakaś demonstracja. Ma on do tego prawo, ale nie można twierdzić, że dyskryminuje go kreska na świadectwie. Notabene, długo się zastanawiałem, czy nie wprowadzić etyki jako obowiązkowego przedmiotu, miałoby to pewne uzasadnienie. Nikt nie mógłby wtedy powiedzieć, że istnieje przymus wyznaniowy. Decyzja o pozostawieniu dobrowolności podyk-

towana została i tutaj właśnie względem tolerancji. Niech po doświadczeniach totalitarnych, gdzie tak wiele było przymusu, każdy ma możliwość wyboru.

Pan Rzecznik Praw Obywatelskich wytacza także zarzut, że katecheta nie powinien być opłacany z budżetu państwa. To kolejne nieporozumienie. Żadne naruszenie praw obywatelskich tutaj nie może wchodzić w rachubę. Jest jednak szczegół, o którym opinia publiczna pewnie nie wie, gdyż sięga to roku 1961, kiedy religię ze szkół usunięto. Otóż nie oznaczało to wówczas chęci usunięcia religii z systemu oświatowego w ogóle (nawet w PRL takiej tendencji nie było), natomiast chciano usunąć religię ze szkoły ustanawiając instytucję punktów katechetycznych, które miały być rejestrowane u właściwych władz, podlegać nadzorowi tychże władz i pod tym warunkiem katecheci mieliby otrzymywać wynagrodzenie od państwa. I wtedy Prymas Wyszyński i Episkopat postanowili, że nie. Jeżeli to ma być punkt katechetyczny kościelny lub w pomieszczeniu przykościelnym (w 1961 r. większość lekcji religii odbywała się w kościołach, potem pobudowano salki katechetyczne), to nie będzie nadzoru władz państwowych i rezygnujemy z jakiegokolwiek wynagrodzenia. Prawda, że byli duchowni, którym bardzo ciężko przychodziła ta rezygnacja, zwłaszcza „księża-patrioci", którzy na początku nawet próbowali rejestrować te punkty, aby jakoś swoje pensje zachować. Ale to bardzo szybko zanikło. Natomiast mało kto wie, że Kościoły niekatolickie nigdy się nie zrzekły pensji państwowej i godziły się na ten nadzór władz nad punktami katechetycznymi. Pan Rzecznik, który widocznie w swym zacietrzewieniu dostrzega tylko Kościół katolicki może nie zdaje sobie sprawy, że tak naprawdę to by uderzyło najbardziej po kieszeni Kościoły niekatolickie, które od paru dziesiątków lat przyzwyczaiły się do tego, że również i ich duchowni biorą to wynagrodzenie od państwa.

W całym tym sporze decyduje punkt wyjściowy: czy religia jest elementem życia społecznego i czy państwo jest oddzielone od religii. Moim zdaniem – nie. W konsekwencji: czy religia należy do systemu oświaty? Moim zdaniem – należy. Wobec tego nie ma podstaw do dyskryminowania katechetów i nieopłacania ich. Zagadnienia moralne należą do tych, które współstanowią sferę edukacji narodowej.

Teoretycznie lekcje religii w szkołach mogłyby być udziałem wszystkich wyznań, których w Polsce jest zarejestrowanych 160. Natomiast tak naprawdę zgłosiło chęć nauczania religii w szkole 12 Kościołów. (Są to wszystko Kościoły chrześcijańskie, akurat tak się złożyło, że niechrześcijańskie takiego dezyderatu nie zgłosiły, choć były powiadomione o takiej możliwości). Uważam za duże osiągnięcie to, że przedstawiciele tych Kościołów, które zgłosiły swój akces, zwrócili się o przyjęcie takiej samej formuły modlitwy przed lekcją. Jest tu więc pewien aspekt ekumeniczny.

Rzecznik natomiast podnosi krytycznie także ten punkt rozporządzenia, który mówi, że w pomieszczeniach szkolnych może być umieszczony krzyż i

że w szkole można także odmawiać modlitwę przed i po zajęciach. Odmawianie modlitwy w szkole powinno być wyrazem wspólnego dążenia uczniów oraz taktu i delikatności ze strony nauczycieli i wychowawców. Kiedy odrzuca się koncepcję takiej neutralności państwa, która miałaby oznaczać rozdział państwa od religii, jest uzasadniona obecność symboli religijnych np. w szkole. Związane z tym jest pewne zarządzenie, mniej znane, z 3 lipca 1991 roku, dotyczące katechizacji w zakładach, w internatach, w państwowych domach dziecka itd., głoszące, że mogą tam być umieszczane symbole religijne. Zwłaszcza gdy chodzi o internaty, uczniowie powinni mieć swobodę wyboru takich symboli religijnych, które im są bliskie. To może dotyczyć każdej religii, każdego wyznania, każdego symbolu w ramach danej religii. Może to być krzyż, może być Matka Boska, może jeszcze coś innego.

Na tym polega funkcjonowanie zasady, że państwo od religii nie jest oddzielone. Co więcej, uważam, że taki rozdział prowadzi do katastrofy. Ilekroć w historii mieliśmy próby takiego rozdzielenia oraz próby eliminowania z systemu edukacji wartości chrześcijańskich i religii – były to okresy dla Polski wręcz katastrofalne.